


Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Emil Zola**

**NANA**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Rougon-Macquartowie  
Historia naturalna i społeczna rodziny za Drugiego Cesarstwa

Tytuł oryginału LES ROUGON-MACQUART  
Histoire naturelle et sociale d'une famille sous le Second Empire  
«NANA»

## I

O godzinie dziewiątej sala teatru „Varietes” była jeszcze pusta. Na balkonie i w rzędach parterowych czekało kilka osób zagubionych wśród ciemnoczerwonych pluszowych foteli, w słabym blasku na pół przyćmionego świecznika. Cień otulał wielką czerwoną płamę kurtyny. Ze sceny nie dochodził żaden odgłos, rampa była wygaszona, pulpity orkiestry poskładane. Tylko w górze, na trzeciej galerii, dokoła rotundy plafonu, gdzie na płaskorzeźbach nagie kobiety i dzieci wzbijały się w niebo zazielenione od gazowego światła, wśród wrzawy słychać było nawoływania i śmiechy. Na tle szerokich zaokrąglonych wnęk, obramowanych złotem, piętrzyły się głowy w kapturkach i czapkach. Chwilami ukazywała się zaafierowana bileterka prowadząc przed sobą jakichś państwa; siadali, on we fraku, ona szczupła i wcięta w talii, o powłóczystym spojrzeniu.

Dwóch młodych ludzi zjawilo się na parterze. Stali rozglądając się.

— A nie mówiłem, Hektorze — zawołał starszy, wysoki, z czarnymi wąsikami — przyszliśmy za wcześnie. Mogłeś spokojnie pozwolić mi dokończyć cygara.

— Ach, panie Fauchery — rzekła do niego poufale przechodząca bileterka — to rozpocznie się dopiero za jakieś pół godziny.

— Dlaczego więc zapowiadają na dziewiątą? — mruknął Hektor; na jego pociągłej, chudej twarzy znać było irytację. — Klarysa, która występuje w tej sztuce, przysięgała mi jeszcze dziś rano, że zaczną punktualnie o dziewiątej.

Na chwilę zamilkli. Podnosząc głowy w górę, badali łoże zatopione w cieniu. Lecz zielony papier, którym były wytapetowane, jeszcze je zaciemniał. Na dole pod balkonem łoże parterowe były pograżone w mroku. W łożach pierwszego piętra siedziała tylko jedna gruba pani, rozparta na pluszowej poręczy. Po prawej i lewej stronie, między wysokimi kolumnami, łoże prosceniowe, ozdobione lambrekinami o długich frędzlach, były puste. Zamazywały się kształty biało-złotej sali w odcieniu delikatnej zieleni. Zdawało się, że drobne płomyki wielkiego kryształowego świecznika zasypywały ją pyłem.

— Czy dostałeś bilety do łoża prosceniowej dla Lucy? — spytał Hektor.

— Owszem — odrzekł dziennikarz — ale nie było to takie proste. Ach! Lucy na pewno nie przyjdzie za wcześnie! — Stłumił lekkie ziewnięcie. Po chwili milczenia odezwał się: — Udało ci się, bo skoro nie widziałeś jeszcze żadnej premiery... *Jasnowłosa Wenus* będzie wydarzeniem sezonu. Mówi się o niej od pół roku. Ach! mój drogi, co za muzyka! Co za szyk!... Bordenave zna się na rzeczy i dlatego chował to na okres Wystawy Światowej.

Hektor słuchał uważnie.

— A znasz Nanę, nową gwiazdę, która ma grać *Wenus*? — zapytał.

— Masz ci los! Znów się zaczyna! — wybuchnął Fauchery gestykulując. — Od rana zanu-dzają mnie Naną. A czy Nana to, a czy Nana owo, i tak ze dwadzieścia razy! Cóż ja o niej wiem? Czyż znam wszystkie dziewczki paryskie?... Nana to wynalazek Bordenave'a. To już musi być coś odpowiedniego! — Uspokoił się, lecz drażniła go pustka sali, przyćmiony blask świecznika, kościelne skupienie przerywane szeptami i trzaskaniem drzwi. — Dość tego! — rzekł raptem. — Co za nuda! Chodźmy... Może na dole znajdziemy Bordenave'a. Dowiemy się od niego jakichś szczegółów.

Na dole, w wielkim marmurowym westybulu, gdzie sprawdzano bilety, zaczynała się zjawiać publiczność. Trzy otwarte bramy ukazywały pulsujące życie bulwarów, rojnych i rozjarzonych w tę piękną noc kwietniową. Turkot powozów urywał się nagle, drzwiczki zamykały się z hałasem i ludzie wchodzili grupkami. Zatrzymywali się przed kontrolerem, potem wstępowali na schody, gdzie kobiety zwalniały kroku, kołysząc się w talii. W jaskrawym świetle gazowym, na wyblakłej nagości tej sali, którą licha dekoracja empirowa przekształcała w

tekturowy perystyl świątyni, rzucały się w oczy wielkie żółte afisze z imieniem Nany wypisanym grubymi czarnymi literami. Panowie przystawali na chwilę w przejściu, by je przeczytać, lub też pochłonięci rozmową zagradzali drzwi. W innej części westybulu tęgi mężczyzna o szerokiej ogolonej twarzy opryskliwie odpowiadał osobom, które uparcie żądały miejsc.

— To Bordenave — rzekł Fauchery.

Dyrektor zauważył dziennikarza na schodach.

— Ładne rzeczy! — krzyknął z daleka. — To tak pan napisał... Dziś rano otwieram „Figaro”, szukam i... nic.

— Niechże pan poczeka! — odrzekł Fauchery. — Muszę przecież poznać pańską Nanę, zanim o niej napiszę... Niczego zresztą nie obiecywałem.

I chcąc zmienić temat rozmowy przedstawił swego kuzyna, pana Hektora de la Faloise, młodego człowieka, który właśnie przybył do Paryża, by dokończyć swej edukacji. Dyrektor jednym spojrzeniem oszacował młodzieńca, a Hektor, wzruszony, przypatrywał mu się uważnie. Więc to jest ten Bordenave, wystawca kobiet, które traktuje jak dozorca skazańców: to ten reklamiarz, co krzyczy, pluje i klepie się po udach, cynik o mentalności żandarma! Hektor uznał, że należy powiedzieć coś uprzejmego.

— Pański teatr... — zaczął słodkim głosem. Bordenave przerwał mu spokojnie, lecz rubasznie, jak człowiek, który lubi jasne sytuacje:

— Niech pan raczej powie: mój burdel.

Na to Fauchery zaśmiał się z aprobatą, podczas gdy la Faloise, z komplementem uwiecznym w gardle, czuł się urażony, lecz usiłował wywołać wrażenie, że i on gustuje w tym słowie. Dyrektor rzucił się, by uścisnąć dłoń pewnemu krytykowi teatralnemu, którego felieton miał duże znaczenie. Gdy wrócił, la Faloise już ochłonął. Bał się, że skoro będzie za bardzo zmieszany, potraktują go jak prowincjusza.

— Mówiono mi — zaczął na nowo, chcąc koniecznie coś powiedzieć — że Nana ma cudny głos.

— Ona? — krzyknął dyrektor wzruszając ramionami. — Toż to istna wrona! Młody człowiek dorzucił spieszenie:

— No, ale znakomita aktorka.

— Cóż znowu!... Niezdara! Nie wie, co począć z rękami i nogami. La Faloise zarumienił się lekko. Nic już nie rozumiał.

— Za nic na świecie nie opuściłbym dzisiejszej premiery — wyjąkał. — Wiedziałem, że pański teatr...

— Powiedz pan: mój burdel — przerwał znowu Bordenave z uporem człowieka przekonanego o swej racji.

Tymczasem Fauchery z całym spokojem patrzył na wchodzące kobiety. Gdy zobaczył, że kuzyn stoi z otwartymi ustami i nie wie, czy ma się śmiać, czy obrazić, przyszedł mu z pomocą.

— Zróbże tę przyjemność panu Bordenave, nazywaj jego teatr, tak jak tego żąda, skoro go to bawi... A pan, mój drogi, niech nas pan nie nabiera. Skoro pańska Nana nie śpiewa ani nie gra, będzie pan miał po prostu kłapę, czego się zresztą obawiam.

— Kłapę! Kłapę! — krzyknął dyrektor, którego twarz stawała się purpurowa. — Czy kobieta musi umieć grać i śpiewać? Ach, mój mały, głupi jesteś... Dalibóg! Nana ma coś innego, coś, co starczy za wszystko. Już ja to wywąchałem, w tym tkwi jej siła, a jeśli tak nie jest, to mój nos — diabła wart... Zobaczysz, zobaczysz, wystarczy, że się pokaże, a cała sala wywiesi języki. — Entuzjastycznym gestem podniósł swe grube dłonie, które drżały mu lekko, a wyładowawszy się w krzyku zniżył głos i mruczał do siebie: — O, tak. ona zajdzie daleko, ach, do krośset, daleko... Co za ciało, och! co za ciało!

Ponieważ Fauchery wypytywał go dalej, Bordenave zgodził się opowiedzieć nawet pewne szczegóły, z dosadnością wyrażen żenującą dla Hektora de la Faloise. Poznał Nanę i chciał ją

lansować. Właśnie szukał obsady dla roli Wenus. Nie zaprzętał sobie długo głowy kobietą, wolał od razu zaprezentować ją publiczności i ciągnąć zyski. Ale miał w swej budzie złościcę, którą wzburzyło przybycie tej okazałej dziewczyny. Jego gwiazda, Róża Mignon, subtelna aktorka i zachwycająca śpiewaczka, domyślając się rywalki, z wściekłością groziła codziennie, że go porzuci. A co za ceregiele były z ustalaniem tekstu afisza! W końcu zdecydował się drukować nazwiska obu aktorek jednakowymi literami. Nie ma u niego żadnych kaprysów. Skoro tylko któraś z tych kobietek, jak je nazywał, Simona czy Klarysa, miała muchy w nosie, dawał jej kopniaka w tyłek. Inaczej nie dałby sobie rady. Sprzedawał te ladacznice i wiedział, co są warte!

— Patrzcie! — rzekł przerywając sobie — Mignon ze Steinerem. Zawsze razem. Wiecie, Steiner zaczyna mieć Róży powyżej uszu; toteż mąż jej nie odstępuje go na krok bojąc się, że zwieje.

Gazowa rampa, płonąca na gzymsie teatru, rzucała na trotuar falę ostrego światła. Dwa drzewka odcinały się wyraźnie jaskrawą zielenią; bielił się jakiś słup tak silnie oświetlony, że z daleka można było czytać afisze jak za dnia. A dalej, w gęstym mroku bulwaru, jarzyły się lampy, kreśląc niewyraźny obraz ruchliwego tłumu. Wiele osób nie wchodziło od razu. Rozmawiali na dworze, kończąc cygara, w świetle rampy, które powlekało ich bladością i rysowało na asfalcie krótkie, czarne cienie.

Mignon, chłop rosły i barczysty, z kwadratową głową jarmarcznego Herkulesa, torował sobie przejście w tłoku, ciągnąc u swego ramienia malutkiego Steinera z pokaznym już brzuszkiem i okrągłą twarzą okoloną pierścieniem siwiejącej brody.

— No i co — rzekł Bordenave do bankiera — spotkał ją pan wczoraj w moim gabinecie?

— Ach, to była ona! — krzyknął Steiner. — Domyślałem się. Ale wychodziłem w chwili, kiedy wchodziła, więc widziałem ją tylko przelotnie.

Mignon słuchał ze spuszczoneymi powiekami, kręcąc nerwowo na palcu wielki diament. Zrozumiał, że chodzi o Nanę. A gdy Bordenave nakreślił portret debutantki w ten sposób, że rozpałił ogień w oczach bankiera, Mignon wtrącił:

— Niech drogi pan da spokój, to ladacznica! Publiczność sama ją przepędzi... Steinerku, pan wie, że moja żona oczekuje go w swej garderobie.

Chciał go zabrać. Ale Steiner nie miał ochoty rozstawać się z Bordenave'em. Przed nimi, przy kontroli, tłoczyła się kolejka, rosła wrzawa, imię Nany dźwięczało w śpiewnym rytmie dwóch zgłosek. Mężczyźni sylabizowali je głośno stając przed afiszami lub rzucali je mimochodem w tonie pytania. A kobiety, zaniepokojone i uśmiechnięte, powtarzały je po cichu z wyrazem zaskoczenia. Nikt nie znał Nany. Skąd się wzięła? Krążyły historyjki i żarty szeptane od ucha do ucha. Pieszczotliwie brzmiało to imię, imionko, którego poufały ton pasował do wszystkich ust. Wystarczyło je tak wymówić, a tłum rozweselał się i swawolił. Gorączkowa ciekawość podniecała ludzi, ciekawość typowo paryska, gwałtowna jak atak nagłego szału. Chciano zobaczyć Nanę. Jakiejś damie oderwano falbanę od sukni, jakiś pan zgubił kapelusz.

— Ach! Za wiele ode mnie żądacie! — krzyknął Bordenave, którego około dwudziestu mężczyzn osaczyło pytaniami. — Zaraz ją zobaczycie... Zwiewam, jestem tam potrzebny.

Zniknął zachwycony, że udało mu się podniecić publiczność. Mignon wzruszał ramionami przypominając Steinerowi, że Róża czeka na niego, bo chce mu pokazać swój kostium z pierwszego aktu.

— Popatrz! Lucy wysiada z powozu — rzekł la Faloise do kuzyna. Istotnie była to Lucy Stewart, nieładna kobietka lat około czterdziestu, o zbyt długiej szyi, mizernej i pociągłej twarzy, ustach grubych, lecz tak żywych i wdzięcznych, że dodawały jej wiele uroku. Przyproceedziła Karolinę Hèquet i jej matkę. Karolina — chłodna piękność, jej matka — bardzo godna, z miną nadętą.

— Chodź z nami, zarezerwowałam miejsce dla ciebie — powiedziała.

— Jeszcze czego! Żeby nic nie zobaczył — odrzekł Fauchery. — Mam fotel, wolę siedzieć na dole.

Lucy rozgniewała się. Czyżby nie miał odwagi z nią się pokazywać? Ale, nagle uspokojona, przeskoczyła na inny temat.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi, że znasz Nanę?

— Nanę? Nigdy jej nie widziałem.

— Naprawdę?... Przysięgano mi, że z nią spałeś.

Stojący przed nimi Mignon z palcem na ustach dawał znak, żeby zamilkli. Na pytanie Lucy wskazał przechodzącego młodego człowieka:

— To facet Nany — szepnął.

Wszyscy spojrzeli na niego. Wydawał się sympatyczny. Fauchery rozpoznał w nim Dagueneta, który przejadł z kobietami trzysta tysięcy franków. a teraz kręcił się na giełdzie, by móc od czasu do czasu fundować im bukiety i obiady. Lucy stwierdziła, że ma piękne oczy.

— Ach, Blanka! — krzyknęła. — To ona mi powiedziała, że spałeś z Naną.

Blanka de Sivry, tęga blondyna o pełnej, ładnej twarzy, przyszła w towarzystwie szczupłego mężczyzny bardzo starannie ubranego i niezmiernie wytwornego.

— Hrabia Ksawery de Vandeuves — szepnął Fauchery do ucha la Faloise'a.

Hrabia wymienił z dziennikarzem uścisk dłoni, a tymczasem Blanka i Lucy prowadziły ożywioną rozmowę. Zagradały przejście swymi falbaniastymi sukniami, niebieską i różową. Imię Nany wracało na ich wargi tak krzykliwie, że wszyscy je słyszeli. Hrabia de Vandeuves zaprowadził Blankę na salę. Lecz teraz imię Nany jak echo dźwięczało w czterech rogach westybulu w tonacji już nieco wyższej, w atmosferze pożądania wzmożonego oczekiwaniem. Kiedy się wreszcie zacznie? Mężczyźni wyciągali zegarki, spóźnialscy wyskakiwali z powozów, zanim się jeszcze zatrzymały, grupy ludzi opuszczały trotuar, gdzie spacerowicze przechodzili powoli przez opustoszałą smugę gazowego światła, wyciągając szyje, by zobaczyć, co się dzieje wewnątrz teatru. Jakiś urwis, który przechodził gwizdząc, stanął przed afiszem w drzwiach, krzyknął głosem pijackim:

„Hej, Nana!”, i poszedł dalej, kołyszając się i powłócząc trepami. Zerwał się śmiech. Wytworni panowie powtarzali: „Nana, hej, Nana!” Popychano się, wybuchła sprzeczka przy kontroli biletów, wzmagął się zgiełk, różne głosy wzywały Nanę, żądały Nany. Był to typowy dla tłumów wybuch głupoty i brutalnej zmysłowości.

Wśród tej wrzawy odezwał się dzwonek. Aż do bulwaru dotarły głosy:

„Już po dzwonku, już po dzwonku!”, publiczność zaczęła się tłoczyć i przeciskać, mnożyli się kontrolerzy. Mignon, zaniepokojony, złapał znowu Steinera, który jednak nie poszedł obejrzeć kostiumu Róży. Na pierwszy odgłos dzwonka la Faloise przedostał się przez tłum, ciągnąc za sobą Fauchery'ego, by nie spóźnić się na uverturę. Ten pośpiech publiczności zirytował Lucy Stewart. Co za chamstwo tak potrącać kobiety. Szła na samym końcu z Karoliną Hèquet i jej matką. Westybul opustoszał. W głębi szumiało życie bulwaru.

— Tak się pchają, jakby te sztuki były zawsze zabawne! — powtarzała Lucy Stewart idąc po schodach.

Na widowni Fauchery i la Faloise stojąc przed swymi fotelami znowu się rozglądali. Sala była teraz olśniewająca. Długie płomienie gazowe jarzyły się w wielkim kryształowym świeczniku. Ulewa żółtego i różowego światła spływała od sklepienia do parteru. Ciemnoczerwony aksamit foteli mienił się jak mora, na ścianach błyszczały złocenia, których blask łagodziły bladozielone ornamenty umieszczone pod zbyt jaskrawymi malowidłami plafonu. Raptowny przyływ światła rampy ogarnął kurtynę ognistą falą. Ciężka, purpurowa draperia, bogata jak w baśniowym pałacu, kontrastowała ze zniszczoną ramą, na której spod złocień wyzierał gips. Było już gorąco. Przy pulpitych orkiestra stroiła instrumenty. Wśród rosnącego gwaru rozlegały się delikatne trele fletu, stłumione westchnienia rogu, śpiewne głosy skrzypiec. Widzowie rozmawiając popychali się i spieszyli do swych miejsc. W kularach tłok był tak wielki, że nieprzerwana fala ludzi z trudem mieściła się w drzwiach. Suknie i fryzury, przeplatane czernią fraków i surdutów, defilowały wśród nawoływań i szelestu tkanin. Stop-



niowo jednak zapełniały się rzędy foteli. Raz po raz błysnęła jakaś jasna toaleta, to znów klejnot wpięty w kok pochylonej głowy o subtelnym profilu, a w łoży skrawek śnieżnobiałego ramienia. Kobiety wachlowały się spokojnie, omdlewająco, śledząc wzrokiem napór tłumu. Na parterze młodzi panowie w białych rękawiczkach i głęboko wyciętych kamizelkach, z kwiatami gardenii w butonierkach, nastawiali lornetki czubkami palców.

Tymczasem dwaj kuzyni szukali znajomych twarzy. Mignon i Steiner siedzieli obok siebie w łoży parterowej, opierając ręce na pluszowej poręczy. W łoży prosceniowej na parterze widać było tylko Blankę Sivry. Lecz uwagę Hektora przykuł przede wszystkim Daguenet, który siedział w fotelu parterowym dwa rzędy przed nim. Obok Dagueneta młodziutki, najwyższej siedemnastoletni chłopiec o wyglądzie gimnazysty szeroko otwierał piękne oczy cherubina. Patrząc na niego Fauchery uśmiechnął się.

— Cóż to za dama siedzi na balkonie? — spytał nagle la Faloise. — Ta z panienką w niebieskiej sukni.

Pokazywał tęgą kobietę mocno ściśniętą gorsetem. Włosy tej osiwiałej blondynki były farbowane na żółty kolor, a jej uróżowana twarz nadymała się dziecinnym grymasem.

— To Gaga — rzekł Fauchery. Zdawało mu się, że kuzyn osłupiał, więc dodał: — Nie znasz Gagi? Robiła furorę w pierwszych latach panowania Ludwika Filipa. Teraz wszędzie wlecze ze sobą córkę.

La Faloise nawet nie spojrział na dziewczynę. Gaga zrobiła na nim silne wrażenie, nie spuszczał z niej wzroku. Uważał, że jest jeszcze bardzo ładna, ale nie śmiał tego powiedzieć.

Dyrygent podnosił już pałeczkę, orkiestra rozpoczynała uwerturę, lecz ludzie ciągle jeszcze napływali, wrzawa rosła. Tę stałą publiczność premierową łączyła zażyłość, witano się uśmiechami. Bywalcy premier swobodnie i poufale wymieniali ukłony nie zdejmując kapeluszy. Spotykał się tu cały Paryż: literatura, finansjera, artyści, wielu dziennikarzy, kilku pisarzy, giełdjarze; dziewcząt lekkich obyczajów więcej niż kobiet statecznych. Było to dziwnie mieszane towarzystwo, obfitujące we wszelkie talenty, ale i zarażone zepsuciem. Twarze zdradzały jednakowe znużenie i rozgorączkowanie. Fauchery pokazywał podnieconemu kuzynowi łoże dziennikarzy i grup literackich, potem wymienił nazwiska krytyków teatralnych; jeden z nich mizerny, zasuszony, miał wąskie, złośliwe usta; inny, grubas o dobrodusznym wyglądzie, tulił się do ramienia swej młodziutkiej sąsiadki i obejmował ją czułym, ojcowskim spojrzeniem.

Widząc jednak, że la Faloise kłania się osobom zajmującym jedną z łoż na wprost sceny, spytał zdumiony:

— Jak to? Ty znasz hrabiego Muffat de Beuville?

— Ach! I od jak dawna! — odrzekł Hektor. — Muffatowie mieli posiadłość w naszym sąsiedztwie. Często u nich bywam... Hrabia jest tu w towarzystwie żony i teścia, markiza de Chouard.

Rad, że wprowadził kuzyna w zdumienie, i pochlebiając swej próżności, zaczął opowiadać bliższe szczegóły: markiz jest radcą Stanu, hrabia został ostatnio mianowany szambelanem cesarzowej. Fauchery wziął do ręki lornetkę i przyglądał się hrabinie. Była to pulchna brunetka o białej karnacji i pięknych czarnych oczach.

— Przedstawisz mnie w antrakcie — rzekł wreszcie. — Spotykałem już hrabiego, ale chciałbym bywać u nich na wtorkowych przyjęciach. „Cicho!” — wołano energicznie z górnych galerii. Lecz choć rozpoczęto już uwerturę, publiczność ciągle jeszcze napływała. Spóźnialszy zmuszali całe rzędy widzów do wstawania, drzwi łoż trzaskały, z kularów dobiegały odgłosy kłótni. Na sali zgiełk przypominał ćwierkanie chmary wróbli o zmierzchu. W tym zamięcie kotłowały się głowy i ramiona. Jedni starali się usiąść wygodnie, inni z uporem stali, by jeszcze rzucić ostatnie spojrzenie. Z ciemnej głębi parteru ktoś zawołał: „Siadać, siadać!” Przez salę przebiegł dreszcz: nareszcie poznają tę słynną Nanę, o której Paryż mówi od tygodnia.

Powoli rozmowy przycichały, choć jeszcze raz po raz ktoś podnosił głos. W przytłumiony, zamierający szmer sali wpadły żwawe tony orkiestry. Grano walca. W jego szelmowskim rytmie było coś z łobuzerskiego śmiechu. Publiczność, podniecona dźwiękami, już się uśmiechała, w pierwszych rzędach parteru klaka wściekle waliła w dłonie. Kurtyna szła w górę.

— Spójrz! — rzekł rozgadany la Faloise. — Lucy jest w towarzystwie jakiegoś pana.

Patrzył na balkonową łożę prosceniową po prawej stronie. Karolina i Lucy zajmowały tam przednie miejsca. Z głębi wyzierała pełna godności twarz matki Karoliny tudzież profil wysokiego młodzieńca o pięknej blond czuprynie, w nienagannym stroju.

— Popatrz! — powtarzał la Faloise natarczywie. — Jest z nią jakiś pan. Fauchery skierował ku łożu prosceniowej lornetkę, lecz natychmiast się odwrócił.

— Och! To Labordette — mruknął obojętnie, jakby obecność tego pana była rzeczą oczywistą i bez żadnego znaczenia.

Z tyłu wołano: „Spokój!” Musieli zamilknąć. Sala znieruchomiała. Od parteru po amfiteatr wznosiło się morze głów wyciągniętych w oczekiwaniu. Pierwszy akt *Jasnowłosej Wenus* rozgrywał się na Olimpie. Był to Olimp tekturowy, z chmurami zamiast kulis i tronem Jowisza po prawej stronie. Najpierw Irys i Ganimed z udziałem sług niebiańskich śpiewali chórem, rozstawiając siedzenia przed naradą bogów. I tym razem tylko klaka biła rytmiczne brawa; publiczność czekała jakby trochę zdezorientowana. La Faloise oklaskiwał jedną z kobietek Bordenave'a, Klarysę Besnus, która grała rolę Irys w bladoniebieskiej szacie z wielką, siedmiokolorową szarfą przewiazaną w tali.

— Czy wiesz, że ona zdejmuje koszulę, kiedy wkłada ten strój? — rzekł do kuzyna tak, by słyszano go dokoła. — Przymierzaliśmy dziś rano. Koszula wyłaziła jej z dekoltu.

Lekki dreszcz poruszył salę. Weszła Róża Mignon jako Diana. Drobną czarnulą, jak urwis paryski urocza, a zarazem brzydka, nie miała wzrostu ani twarzy odpowiednich do tej roli. Ale było coś czarującego w tych kpinach z postaci Diany. Występ rozpoczęła od bezdennie głupiej piosenki, w której skarżyła się na Marsa, że porzucił ją dla Wenus. Śpiewała tę melodię z wstydliwą powściągliwością, ale w tekście było tak wiele sprośnych dwuznaczników, że publiczność się rozpałała. Mąż Róży i Steiner uśmiechali się życzliwie. A kiedy zjawił się ulubieniec publiczności Prullière w roli generała, kabaretowego Marsa, z ogromnym pióropuszem i szablą sięgającą mu do ramienia, sala buchnęła śmiechem. Mars miał już dosyć Diany, za bardzo zadzierała nosa. A Diana przysięgała, że będzie go miała na oku i że się zemści. Duet kończył się błazeńską piosenką tyrolską, którą Prullière śpiewał pociesznie głosem podrażnionego kocura. Był zabawny w roli próżnego, uszczęśliwionego amanta. Jego pyszałkowskie spojrzenia wzbudzały głośny śmiech kobiet w łożach.

Potem publiczność znowu ochłodziła, bo następne sceny okazały się nudne. Jedyne stary Bosc, jako głupawy Jowisz przytłoczony ogromną koroną, rozweselił na chwilę publiczność, gdyż miał sprzeczkę małżeńską z Junoną na tle rozliczenia z kucharką. Ale niewiele brakowało, by zepsuła wszystko defilada bogów, Neptuna, Plutona, Minerwy i innych. Niecierpliwiono się, wzrastał powoli niepokojący szmer, spektakl przestawał interesować widzów, którzy rozglądali się po sali. Lucy śmiała się z Labordette'em; hrabia de Vandeuves łakomie spoglądał na tęgie ramiona Blanki, a Fauchery kątem oka zerkał na Muffatów. Hrabia był bardzo poważny, jakby niczego nie rozumiał, hrabina, uśmiechając się tajemniczo, patrzyła zadumana i rozmarzona. Nagle pośród ogólnej nudy klaka zatrzeszczała jak regularny ogień plutonu. Wszyscy zwrócili się ku scenie. Czyżby nareszcie Nana? Jak długo kazała na siebie czekać!

Irys i Ganimed wprowadzili delegację śmiertelnych: szacownych mieszczan. Byli to zdradzeni mężowie. Przybyli przedstawić najwyższemu z bogów skargę na Wenus, która nadmiarem żarów miłosnych rozpałała ich żony. Bardzo zabawny był chór, jego żalony i naiwny śpiew przeplatały chwile wymownego milczenia. „Chór rogaczy, chór rogaczy” — krzyczano na sali i domagano się bisów. Głowy chórzystów były komiczne, uważano, że mają twarze

odpowiednie do swych ról, zwłaszcza jeden grubas jak księżyc w pełni. Tymczasem zjawił się rozwścieczony Wulkan, pytając o żonę, która zwiłała trzy dni temu. Chór znowu zaczął śpiewać zanosząc błagalne modły do Wulkana, boga rogaczy. Wulkana grał komik Fontan, oryginalny w swej wulgarności. Jako wielki kowal pocieszenie kołysał się w biodrach; miał rudą, płomienną perukę i gołe ramiona z tatuażem w kształcie serc przebitych strzałami. Jakaś kobieta wyrwała się bardzo głośno: „Ach, jakież on brzydki!”, a inne śmiały się przyklaskując.

Następna scena wlokła się bez końca. Jowisz przeciągał naradę bogów, chcąc przedstawić prośbę zdradzonych mężów. A Nany ciągle jeszcze nie było! Czyżby ją chowano na sam koniec przedstawienia? Tak długie wyczekiwanie zirytowało wreszcie publiczność, która znowu zaczęła szemrać.

— Jakoś niedobrze — powiedział do Steinera rozpromieniony Mignon. — Będzie ładny wpadunek, zobaczy pan!

W tej chwili rozstały się chmury i ukazała się Wenus. Bardzo wysoka i jak na swoje osiemnaście lat bardzo tęga, w białej tunice bogini, z długimi rudymi włosami rozpuszczonymi na ramiona. Nana spokojna i pewna siebie zstąpiła ku rampie, śmiejąc się do publiczności. Zaczęła śpiewać swoją popisową melodię:

#### Gdy Wenus błąka się z wieczora...

Ale już od drugiego wiersza publiczność zamieniała z sobą spojrzenia. Czyż to miał być żart, czy też jakiś zakład Bordenave'a? Nigdy nie słyszano równie prymitywnego i fałszywego głosu. Dyrektor trafnie ją określił; istotnie śpiewała jak wrona. Nie umiała nawet się ruszać na scenie, wyrzucała ręce naprzód, kołysząc całym ciałem w sposób wulgarny i bez wdzięku. Na parterze i na tańszych miejscach dały się słyszeć gwizdy oraz różne „ochy” i „achy”, gdy raptem jakiś młodzieńcy, nieopierzony kogucik odezwał się z foteli parterowych dobitnym głosem:

— Bajeczna!

Wszyscy spojrzeli na niego. Był to cherubinek, jasnowłosy gimnazjalista, który na widok Nany wytrzeszczał piękne oczy, a twarz mu płonęła. Gdy poczuł zwrócone ku sobie spojrzenia, spaśował ze wstydu. Jego sąsiad, Daguenet, przyglądał mu się uśmiechnięty, publiczność, jakby rozbrojona, śmiała się i już nie myślała o gwizdaniu. Młodzieńcy w białych rękawiczkach, także oczarowani sylwetką Nany, rozplýwali się w zachwytach i klaskali.

— Tak, tak! Świetnie! Brawo!

Nana zareagowała śmiechem na śmiech sali. Nastrój robił się coraz weselszy. Ta piękna dziewczyna była jednak zabawna, śmiech drażył w jej bródce rozkoszny dołeczek. Wcale nie zmieszana, swobodna, nawiązująca bezpośredni kontakt z publicznością, mrugnięciem oka zdawała się mówić, że nie ma za grosz talentu, ale cóż to szkodzi, skoro ma coś innego. Zwróciła się do dyrygenta z gestem oznaczającym: „Zaczynamy, mój drogi!”, i rozpoczęła drugi kuplet:

#### Gdy Wenus przechodzi o północy...

Śpiewała ciągle tym swoim cierpkim głosem, lecz teraz tak już dobrze wiedziała, jak połechtąć publiczność, że chwilami wywoływała dreszczyk na sali. Śmiały się przy tym serdecznie jej czerwone usteczka i wielkie, jasnoniebieskie oczy. Przy bardziej ognistych zwrotkach jej różowe nozdrza rozdymały się, a policzki płonęły. I wciąż kołysała się w biodrach — jedyne, co umiała. Ale nie widziano w tym już nic brzydkiego, przeciwnie, mężczyźni ją nawet lornetowali. Pod koniec kupletu zabrakło jej zupełnie głosu; skoro zorientowała się, że dalej nie da rady, wygięła się w biodrach, których krągłość zarysowała się pod cienką tuniką, i przechylona w tali, wypinając pierś, uniosła ramiona. Wybuchły oklaski. Ona, bez namysłu

odwróciwszy się, schodziła ze sceny, a jej rozsypane rude włosy wyglądały jak złote runo. Sala zatrzęsła się od oklasków.

Koniec aktu był mniej porywający. Wulkan chciał spoliczkować Wenus. Bogowie naradzali się i zdecydowali, że zanim dadzą satysfakcję zdradzonym mężom, zrobią wywiad na Ziemi. Wtedy właśnie Diana, która podsłuchiwała czułą rozmowę Wenery z Marsem, przysięgła, że podczas podróży nie spuści ich z oka. Następowala scena, w której dwunastoletnia dziewczynka w roli Miłości, dłubiąc w nosie, odpowiadała na wszystkie pytania tonem beksy: „Tak, mam... Nie, mam...” Potem Jowisz, srogi jak rozgniewany nauczyciel, zamykał Miłość w ciemnym gabinecie, każąc jej dwadzieścia razy odmieniać słowo „kocham”. Bardziej spodobała się partia finałowa, świetnie wykonana przez chór i orkiestrę. Lecz gdy opadła kurtyna, klaka daremnie usiłowała wywołać artystów. Wszyscy już wstali i kierowali się ku drzwiom.

Dreptano, popychano się w ścisku pomiędzy rzędami foteli, dzieląc się wrażeniami. Powtarzało się jedno zdanie: „To jest idiotyczne.”

Jakiś krytyk twierdził, że należałoby gruntownie się po tym przejechać. Zresztą nie chodziło wcale o sztukę, gdyż rozmawiano przede wszystkim o Nanie. Fauchery i la Faloise, wyszedłszy z pierwszych rzędów, spotkali się w kularach na parterze ze Steinerem i Mignonem. Duszno było w tej wąskiej i ciasnej kiszce, która wyglądała jak oświetlony gazowymi lampami korytarz w kopalni. Na chwilę przystanęli u stóp schodów po prawej stronie, osłonięci poręczą. Publiczność z tańszych miejsc schodziła stukając ciężkim obuwem, jednocześnie przelewała się fala czarnych fraków, a bileterka robiła, co mogła, by przed naporem tłumu osłonić krzesło, na którym spiętrzyła okrycia.

— Ależ ja ją znam! — krzyczał Steiner spostrzegłszy Fauchery'ego. — Na pewno ją gdzieś widziałem... Zdaje mi się, że w Kasynie, skąd musiano ją wynieść, tak była pijana.

— Dokładnie już nie pamiętam — powiedział dziennikarz — ale podobnie jak pan na pewno ją gdzieś spotkałem... — Zniżył głos i dodał śmiejąc się: — Może u Tricony.

— No, proszę! W tak wstrętym miejscu — oświadczył Mignon, który wydawał się rozdrażniony. — Doprawdy oburza mnie, że publiczność tak przyjmuje pierwszą lepszą dziewczkę. Niedługo w teatrze nie będzie już uczciwych kobiet... Dojdzie do tego, że zabronię Róży grać.

Fauchery nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Tymczasem na schodach nie ustawały odgłosy ciężkiego obuwia. Jakiś jegomość w kaszkiecie mówił powoli:

— Niczego sobie ta tłuścioszka! Hoho! Byłoby co schrupać. W kularach klóciło się dwóch młodych ludzi, ufryzowanych, wytwornych w swych zagiętych kołnierzykach. Jeden powtarzał: „Okropna! Okropna!”, bez żadnego uzasadnienia, a drugi gardząc także wszelką argumentacją odpowiadał: „Wspaniała! Wspaniała!”

La Faloise uważał, że jest bardzo ładna. Ośmielił się tylko dodać, że byłoby dobrze, gdyby szkolila głos. Steiner, który już nie słuchał, nagle jakby oprzytomniał. Jego zdaniem, trzeba raczej poczekać, bo wszystko może się zepsuć w następnych aktach. Publiczność okazała życzliwość, ale spektakl jeszcze jej nie porwał. Mignon przysięgał, że kłapa nastąpi jeszcze przed końcem przedstawienia, a gdy Fauchery i la Faloise poszli do foyer, chwycił za rękę Steinera, przywarł do jego ramienia i szepnął mu do ucha:

— Zobacz pan strój mojej żony w drugim akcie... Wściekle pikantny!

Na górze w foyer trzy kryształowe żyrandole świeciły jaskrawo. Kuzyni zawahali się na chwilę. Przez otwarte oszklone drzwi widać było od jednego do drugiego końca sali rozkołysane fale głów, które krążyły to w tę, to w tamtą stronę. W końcu jednak precyzyjnie się przeliczyli. Mężczyźni stali grupkami, rozmawiali bardzo głośno i gestykulowali, nie ruszając się z miejsca pośród poszturchiwań; albo też dreptali jeden za drugim, a zmieniając kierunek stukali obcasami w woskowany parkiet. Po prawej i lewej stronie pomiędzy marmurowymi kolumnami kobiety siedziały na czerwonych pluszowych ławeczkach i obserwowały przechodzący tłum,

znużone, jakby omdlałe z gorąca; z tyłu w wysokich lustrach odbijały się ich koki. W głębi przy bufecie jakiś opasły mężczyzna pił szklanę soku.

Fauchery chcąc odetchnąć wyszedł na balkon. Za nim podążył wnet la Faloise, który studiował fotografie aktorek wiszące, podobnie jak lustra, w ramach pomiędzy kolumnami. Przed chwilą zgaszono gazową rampę u wejścia do teatru. Na balkonie, który wydał im się pusty, było ciemno i chłodno. Tylko w prawej wnęce jakiś młody człowiek ukryty w cieniu opierał się łokciami o kamienną balustradę i palił papierosa, który skrzył się z daleka. Fauchery rozpoznał Dagueneta. Uścisnęli sobie dłonie.

— Cóż pan tu robi, kochaneczku? — spytał dziennikarz. — Na premierze chowa się pan po kątach albo nie opuszcza wcale widowni.

— Jak pan widzi, po prostu palę — odrzekł Daguenet. A Fauchery chcąc zbić go z tropu spytał:

— No cóż pan myśli o debutantce?... W kuluarach mówią o niej raczej nieszczególnie.

— Och! — szepnął Daguenet — tak mówią mężczyźni, których ona nie chciała!

To była cała jego ocena talentu Nany. La Faloise wychylił się i patrzył na bulwar. Po przeciwległej stronie ulicy okna hotelu i jakiegoś klubu były jasno oświetlone. A na tarasie Kawiarni Madryckiej aż czarno było od stłoczonych przy stolikach gości. Pomimo spóźnionej pory ścisk był niebywały; ludzie posuwali się wolno, wychodzili nieustannie z pasażu Joffroy i musieli czekać co najmniej pięć minut, by przejść przez jezdnię, bo powozy jechały nie kończącym się sznurem.

— Co za ruch! Co za zgiełk! — powtarzał la Faloise, którego Paryż jeszcze zdumiewał.

Odezwał się przeciągły dzwonek, foyer opustoszało. W kuluarach zapanował gorączkowy pośpiech. Kurtyna poszła już w górę, a jeszcze duże grupy publiczności wchodziły, ku oburzeniu tych widzów, którzy już siedzieli na swych miejscach. Wszyscy w napięciu oczekiwali dalszego ciągu przedstawienia. La Faloise od razu rzucił spojrzenie na Gagę. Zdziwił się ujrawszy przy niej wysokiego blondyna, który przed chwilą siedział w łoży prosceniowej Lucy.

— Jak się ten pan nazywa? — spytał. Fauchery z początku go nie dostrzegł.

— Ach, Labordette — powiedział wreszcie z gestem oznaczającym zupełną obojętność.

Dekoracja drugiego aktu była zaskakująca. Przedstawiała wnętrze „Czarnej Kuli”, przedmiejskiej spelunki, w tłusty wtorek. Postacie w maskach karnawałowych śpiewały wesołą piosenkę akompaniując sobie przy refrenie przytupywaniem obcasami. Ten marny numer, po którym wiele sobie nie obiecywano, tak rozbawił publiczność, że musiano bisować piosenkę. W tej właśnie speluncie bogowie rozpoczęli wywiad; zabłądzili zresztą z winy Irys, która ich oszukała mówiąc, że zna Ziemię. Dla niepoznaki byli przebrani. Jowisz ukazał się jako król Dagobert, w spodniach wywróconych na lewą stronę i w wielkiej koronie z białej blachy. Feb zjawił się jako Pocztylion z Longjumeau, a Minerwa jako Mamka normandzka. Szalonymi wybuchami wesołości przyjęto Marsa w dziwnym stroju szwajcarskiego Admirala. A gdy ukazał się Neptun, wszyscy parsknęli śmiechem: w bluzie, w wysokiej wydętej czapie, z loczkami przylepionymi na skroniach, szedł człapiąc pantoflami i mówił grubym głosem: „Co chcecie, skoro jestem pięknym mężczyzną, muszę pozwolić, by mnie kochano!” Wywołał tym serię „ochów”, damy zasłoniły się z lekka wachlarzami. Lucy w łoży prosceniowej śmiała się tak głośno, że Karolina Hèquet musiała ją uciszyć, trzepnąwszy wachlarzem.

Od tej chwili było już wiadomo, że sztuka wyszła z próby zwycięsko, a nawet zanosilo się na wielki sukces. Królewską ucztą wydawał się ten karnawał bogów, Olimp sponiewierany w błocie, bezlitosne kpiny z religii i poezji. Kulturalna publiczność premierowa w gorączce wyszydzania szargała legendę i burzyła antyczne postaci. Jowisz był górą. Mars pobity. Królewska godność stawała się farsą, armia żartem. Gdy Jowisz, zakochany nagle w praczce, zaczął tańczyć wyuzdanego kankana, Simona, która grała praczkę, podrzuciła nogę pod sam nos najwyższego z bogów, nazywając go tak zabawnie swoim „grubaskiem”, że szalony śmiech wstrząsnął salą. Podczas tańca Feb podawał Minerwie czarki z grzany winem, a Neptun

królował w otoczeniu siedmiu czy ośmiu kobiet, które raczyły go ciastkami. Podchwytywano aluzje, dodawano sprośne słowa, okrzyki orkiestry przekręcały sens niewinnych wyrazów. Od dawna już się nie zdarzyło, by publiczność teatralna upajała się tak bezdenną bzdurą. Było to dla niej odprężeniem.

Wśród tych szaleństw akcja toczyła się dalej. Wulkan jako elegancki młodzian, ubrany cały na żółto i w żółtych rękawiczkach, z monoklem w oku, uganiał się za Wenerą, która weszła na scenę jako Handlarka Ryb, w chustce na głowie, z biustem nader obfitym i obwieszona złotymi świecidelkami. Nana, biała, pulchna, tak pasowała do tej postaci mocnej w biodrach i w gębie, że od razu podbiła salę. Zapomniano o Róży Mignon, która, jako rozkoszne Bobo w słomkowym kapelusiku i krótkiej muślinowej sukience, czarującym głosem wypowiadała żalose skargi Diany. Publiczność upajała się przede wszystkim wdziękami Nany, tegiej, try-skającej werwą dziewczyny, która klepała się po udach i gdakała jak kura, roztaczając swe kobiece uroki. Od drugiego aktu mogła sobie już na wszystko pozwolić: źle się poruszać na scenie, śpiewać fałszywie, nie pamiętać roli. Wystarczyło, że odwracała się i śmiała, a już zrywały się brawa. Kiedy pociesznie wypinała biodra, orkiestra rozpaliała się, podniecenie ogarniało całą salę aż pod samo sklepienie. Jako rej wodząca w speluncie osiągnęła szczyt powodzenia. Czuła się doskonale w roli Wenus siedzącej w rysztoke na brzegu trotuaru, podpartej dłońmi w talii. Muzyka była świetnie dobrana do jej głosu dziewczyny z przedmieścia: dźwięki jakby fujarki na jarmarku w Saint-Cloud, gdy zabawnie kichnie klarnet i wści-biają się fletowe tony.

Bisowano jeszcze dwa numery. Walc z uwertury, ów walc o szelmowskim rytmie, odezwał się znowu i porwał bogów. Junona jako Farmerka docinała Jowiszowi wymawiając mu pracę i tłukła go po głowie. Diana, która przyłapała Wenus w chwili, gdy umawiała się na schadzke z Marsem, naprędce wyznaczała miejsce i godzinę spotkania Wulkanowi, który krzyczał: „Ja już mam swoje plany.” Następne sceny nie wydawały się zupełnie zrozumiałe. Wywiad kończył się galopem, po którym Jowisz, zadyszany, zlany potem, bez korony, oświadczył, że kobiety ziemskie są rozkoszne i że mężczyźni nie mają racji.

Kurtyna opadała, gdy rozległy się gwałtowne okrzyki, głośniejsze od braw: „Na scenę!”

Kurtyna poszła w górę. Artyści wyszli trzymając się za ręce. W środku Nana i Róża Mignon stały obok siebie i kłaniały się. Zerwały się oklaski, klaka wrzeszczała. Potem z wolna sala opróżniła się do połowy.

— Muszę się przywitać z hrabiną Muffat — powiedział la Faloise.

— Doskonale, teraz mnie przedstawisz — odrzekł Fauchery. — Potem zejdziemy.

Lecz nie było rzeczą łatwą dotrzeć do łóż balkonowych. Na górze w kularach panował nieznośny tłok. Chcąc się precyzyjnie musieli się skulić i prześlizgiwać, manewrując łokciami. Jakiś znany krytyk, oparty grzbietem o miedzianą lampę, w której palił się płomień gazowy, omawiał sztukę otoczony gronem uważnych słuchaczy. Osoby przechodzące wymieniały pół-głosem jego nazwisko. Według krążącej w kularach pogłoski krytyk ten śmiał się przez cały akt; a jednak teraz okazał się bardzo surowy, rozwodził się na temat dobrego smaku i moralności. Opodal krytyk o wąskich wargach wyrażał się o przedstawieniu przychylnie, ale miało to posmak czegoś cierpkiego.

Fauchery przeglądał łoże przykładając oko do okrągłych otworów wyciętych w drzwiach. Hrabia de Vandeuves zatrzymał go zasypując pytaniami. A gdy się dowiedział, że dwaj kuzyni idą powitać Muffatów, wskazał im łoże siódmą, z której właśnie wyszedł. Potem, pochylając się do ucha dziennikarza, rzekł:

— Niechże pan powie, mój drogi, wszak to tę Nanę widzieliśmy któregoś wieczoru na rogu ulicy Provence.

— No właśnie! Ma pan rację — krzyknął Fauchery. — Mówiłem przecież, że ją znam.

La Faloise przedstawił swego kuzyna hrabiemu Muffat de Beuville, który przyjął go oziębło. Lecz hrabina słysząc nazwisko Fauchery'ego podniosła głowę i z umiarem komplementowała

dziennikarza za jego artykuły w „Figaro”. Oparta łokciami o pluszową poręcz, odwróciła się ku niemu bokiem z wdzięcznym ruchem ramion. Po chwili rozmowa zeszła na temat Wystawy Światowej.

— To będzie bardzo piękne — rzekł hrabia, którego kwadratowa i regularna twarz wyrażała urzędową powagę. — Zwiedzałem dziś Pole Marsowe... Wróciłem zachwycony.

— Mówią, że nie wszystko będzie gotowe na czas — odważył się zauważyć la Faloise. — Tam jeszcze taki kram... Lecz hrabia przerwał mu surowo:

— Będzie gotowe... Tak chce cesarz.

Fauchery opowiadał z humorem, jak pewnego dnia udawszy się tam w poszukiwaniu tematu do artykułu o mało co byłby został w akwarium, które wówczas budowano. Hrabina uśmiechała się. Chwilami spoglądała na salę, podnosząc ramię w białej rękawiczce długiej do łokcia i wachlując się powolnym ruchem. Sala, już prawie pusta, zapadała w sen. W rzędach parterowych kilku panów rozłożyło dzienniki. Panie swobodnie przyjmowały gości jak w swoim domu. Pod żyrandolem, którego jasność przyćmiewał drobny pył unoszący się przy zmianie dekoracji, słychać było tylko szept wytwornego towarzystwa. W drzwiach gromadzili się mężczyźni, by zobaczyć kobiety, które pozostały na swych miejscach. Stali przez chwilę bez ruchu, wyciągając szyje i ukazując białe gorsy kształtu wielkich serc.

— Liczymy na pana w najbliższy wtorek — powiedziała hrabina do la Faloise'a.

Zaprosiła też Fauchery'ego, który się skłonił. Nie mówiono wcale o sztuce, nawet nie wymieniono imienia Nany. Hrabia zachowywał tak lodowatą godność, jakby był na posiedzeniu Ciała Ustawodawczego. Chcąc usprawiedliwić ich obecność na tym spektaklu, powiedział po prostu, że jego teść lubi teatr. Drzwi łoży pozostały otwarte. Markiz de Chouard, który wyszedł, by zrobić miejsce odwiedzającym, prezentował swoją wysoką, starczą figurę i zmiętą, białą twarz. Spod kapelusza o szerokim rondzie patrzył mętym wzrokiem na przechodzące kobiety.

Otrzymawszy od hrabiny zaproszenie na wtorkowe przyjęcie, Fauchery opuścił łożę. Wyczuł, że byłoby rzeczą niestosowną mówić teraz o sztuce. La Faloise wyszedł ostatni. W prosceniowej łoży hrabiego de Vandevres zauważył właśnie blondyna Labordette, który rozsiadł się wygodnie, rozmawiając poufale z Blanką de Sivry. Spotkawszy znowu kuzyna powiedział:

— Ach! Ten Labordette zna chyba wszystkie kobiety?... Popatrz, teraz dla odmiany zabawia się z Blanką.

— Oczywiście, zna je wszystkie — odpowiedział z flegmą Fauchery. — Czyś ty z dębu spadł, że nie wiesz o tym?

W kuluarach nieco się rozluźniło. Fauchery miał właśnie zejść, gdy nagle Lucy go zawołała. Stała u wejścia do swej łoży prosceniowej. Mówiła, że w środku można się ugotować. Zajmowała całą szerokość korytarza w towarzystwie Karoliny Hèquet i jej matki, które chrupały praliny. Bileterka rozmawiała z nimi familiarnie. Lucy wymyślała dziennikarzowi: ładnie to, że chodzi oglądać inne kobiety, a ich nawet nie spyta, czy nie chciałyby się czegoś napić! A przechodząc na inny temat, powiedziała:

— Wiesz co, kochanie, moim zdaniem Nana świetnie wygląda. Chciała, żeby został u nich w łoży na ostatni akt, ale on uciekł obiecując, że spotka się z nimi przy wyjściu. Na dole, przed teatrem, Fauchery i la Faloise zapalili papierosy. Przycichał już szum bulwaru. Ludzie, którzy zeszli po kamiennych schodach, by odetchnąć świeżym powietrzem, zagradzali trotuar.

Tymczasem Mignon zaciągnął Steinera do kawiarni „Varietes”. Po sukcesie Nany zaczął mówić o niej z entuzjazmem, obserwując bankiera kątem oka. Znał go dobrze i już dwa razy pomógł mu zdradzić Różę, a potem, gdy kaprys minął, przyprowadzał go z powrotem, wernego i pełnego skruchy. W przepelnionej kawiarni goście siedzieli w ścisłości przy marmurowych stolikach; niektórzy spieszenie pili na stojąco. Wielkie lustro odbijały w nieskończoność morze głów i pogłębiały wąską salę z trzema świecznikami, ławeczkami z moleskinu, krętymi

schodami ozdobionymi czerwoną draperią. Steiner zajął stolik w otwartej na bulwar pierwszej sali, której drzwi wyjęto trochę za wcześnie na tę porę roku. Przechodzili właśnie Fauchery i la Faloise, więc bankier zatrzymał ich mówiąc:

— Może wypijecie z nami kufelek?

Lecz był pochłonięty jedynie myślą, żeby posłać bukiet Nanie. Zawołał w końcu garsona, którego poufale nazywał Augustem. Mignon, który nadśluchiwał, spojrzął na niego tak wymownie, że Steiner zmieszał się bełkocząc:

— Niech August wręczy bileterce dwa bukiety. Po jednym dla każdej z tych dam, i podać im w odpowiedniej chwili, dobrze?

W drugim końcu sali stała nieruchomo przed pustą szklanką młoda, najwyżej osiemnastoletnia dziewczyna. Z głową opartą o ramę lustra, tkwiła przed pustą szklanką jakby odrętwiała przez długie i daremne czekanie. W oprawie naturalnych, pięknych, popielatych loków miała twarz Madonny i pełne słodczy aksamitne, niewinne oczy; miała suknię z zielonego, wypłowiałego jedwabiu i okrągły, zniszczony kapelusz. Była blada od nocnego chłodu.

— Patrzcie! Satin — szepnął Fauchery dostrzegłszy ją. La Faloise zaczął go wypytywać. Ech, nic nadzwyczajnego, po prostu dziewczka z bulwarów. Ale taka z niej szelma, że można się ubawić tym, co mówi. Dziennikarz podnosząc głos zapytał:

— Co ty tu robisz, Satin?

— Pluję i łapię — odpowiedziała spokojnie, nie ruszając się z miejsca. Czterej mężczyźni, zachwyceni, zaczęli się śmiać. Mignon zapewniał, że mają sporo czasu; ustawianie dekoracji do trzeciego aktu potrwa jakie dwadzieścia minut. Lecz dwaj kuzyni, wypiwszy piwo, chcieli już wrócić na górę; było im zimno. A Mignon, zostawszy sam ze Steinerem, podparł się łokciami i powiedział mu bez ogródek:

— No więc załatwione, pójdziemy do niej, przedstawię pana... Oczywiście to zostaje między nami, moja żona nie potrzebuje o tym wiedzieć. Wróciwszy na swoje miejsca, Fauchery i la Faloise zauważyli w jednej z łóż skromnie ubraną, ładną kobietę. Była w towarzystwie pana wyglądającego poważnie, naczelnika w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, którego la Faloise znał, bo spotkał go u Muffatów. Co do niej, Fauchery mniemał, że to pani Robert: kobieta uczciwa, która nie ma więcej jak jednego kochanka, i to zawsze człowieka godnego szacunku.

Musieli się jednak odwrócić. Uśmiechał się do nich Daguenet, który teraz, gdy Nana odniosła sukces, już się nie ukrywał, a przed chwilą triumfował w kuluarach. Obok niego młody gimnazjalista nie ruszał się ze swego fotela, osłupiały z podziwu dla Nany. „Ach, cóż to za wspaniała kobieta!” Rumienił się, wkładał i zdejmował rękawiczki. A gdy usłyszał, że jego sąsiad rozmawia o Nanie, odważył się zapytać:

— Przepraszam pana, czy pan zna tę damę, która występuje na scenie?

— Tak, trochę — szepnął z pewnym wahaniem zaskoczony Daguenet.

— Wobec tego zna pan jej adres?

Pytanie padło tak obcesowo, że miał ochotę odpowiedzieć policzkiem.

— Nie — rzekł oschle.

I odwrócił się plecami. Blondynek zrozumiał, że popełnił coś niewłaściwego. Jeszcze bardziej spłoszył i stropił się.

Zabrzmiał trzeci dzwonek, garderobiane miały urwanie głowy z odbieraniem pelis i palt od wracającej na salę publiczności. Klaka już oklaskiwała dekoracje. Przedstawiły one grotę na stokach Etny, wydrążoną w kopalni srebra. Jej ściany lśniły jak nowe srebrne talary. W głębi blask bijący od kuźni Wulkanu podobny był do zachodu słońca. W drugiej scenie Diana umawiała się z Wulkanem, który miał udać, że wyjeżdża, by ustąpić miejsca Marsowi i Wenus. Ledwie Diana została sama, na scenę weszła Wenus. Dreszcz przebiegł przez salę. Nana była naga. Ukazywała swą nagość spokojnie i zuchwale, pewna wszechmocy swego ciała. Otulała ją tylko gaza. Kragłe ramiona, piersi amazonki o różowych pąkach sterczących i



sztynnych jak lance, szerokie biodra kołyszące się lubieżnie, uda bujnej blondyny, wszystkie wdzięki jej ciała wycierały z powiewnej, białej jak piana tkaniny. Spowijał ją jedynie płaszcz włosów. Była to Wenus wyłaniająca się z fal morskich. Gdy unosiła ramiona, w świetle rampy widać było złoty meszek pod pachami. Nikt nie klaskał, nikt się nie śmiał. Poważni mężczyźni patrzeli z napięciem, nosy mieli wyciągnięte, usta roznamietnione i wyschłe. Jakby wiatr lekki, brzemienno głuchą groźbą, powiał po sali. Nagle w tej swawolnej dziewczynie obudziła się kobieta rozpalająca szal zmysłów i nie znanych dotąd chuci. Nana ciągle się uśmiechała; był to wyzywający uśmiech pożeraczki mężczyzn.

— Do licha! — rzekł po prostu Fauchery do la Faloise'a.

Tymczasem nadbiegł na umówione spotkanie Mars w pióropuszu i znalazł się w towarzystwie dwóch bogiń. Nastąpiła scena, którą Prullière zagrał finezyjnie. Obsypywany pieszczotami przez Dianę, która ostatni raz próbowała go usidlić przed wydaniem go w ręce Wulkanu, hołubiony przez Wenus, którą podniecała obecność rywalki, pławiał się w tych pieszczotach jak pączek w maśle. Scena kończyła się wspaniałym trio, podczas którego w łożu Lucy Stewart ukazała się bileterka i rzuciła na scenę dwa ogromne bukiety białego bzu. Publiczność biła brawa. Nana i Róża Mignon kłaniały się, a Prullière podnosił bukiety. Część orkiestry z uśmiechem zwróciła się ku łożu zajętej przez Steinera i Mignona. Bankierowi, któremu krew napłynęła do twarzy, konwulsyjnie drgała broda, jakby mu coś uwięzło w gardle.

To, co potem nastąpiło, rozpałało salę do żaru. Diana, wściekła, odeszła. Natychmiast Wenus, siedząc na mchu, przywołała Marsa. Nigdy jeszcze nie odważono się przedstawić w teatrze bardziej namiętej sceny uwodzenia. Nana tuliła do siebie Prullière'a, zarzuciwszy mu ramiona na szyję. Tymczasem w głębi grotty ukazał się Fontan, wyrażający zabawną mimiką swoją wściekłość; miał przesadnie wykrzywioną twarz znieważonego męża, który przyłapuje żonę na gorącym uczynku. W ręku trzymał sławetną drucianą siatkę. Przez chwilę wymachiwał nią jak rybak, który ma zarzucić wędzisko, po czym zręcznym chwytem złowił Wenus i Marsa w sidła i obezwładnił ich w pozie szczęśliwych kochanków.

Na sali wzmógł się szmer podobny do wzbierającego westchnienia. Kilka rąk zaklaskało, wszystkie lornetki były wymierzone w Wenus. Z wolna Nana podbijała publiczność, mężczyźni ulegali jej czarowi. Buchało od niej rują jak z rozwydrzonej bestii, oładnęła całą salę. Teraz już jej najmniejsze drgnienie budziło pożądanie, gestem małego palca wywoływała dreszcze. Grzbiety zaokrąglały się rozedrgane, jakby po mięśniach przesuwaly się niewidzialne smyczki. Na karkach jeżyły się swawolne włoski, które znikaly zdmuchnięte ciepłymi oddechami nie wiadomo czyich ust kobiecych. Fauchery widział przed sobą gimnazjalistę, którego podniecenie podrywało z fotela. Korciło go, by zerknąć na pobladłego śmiertelnie hrabiego de Vandeuves, który zaciskał wargi; pragnął zobaczyć, jak nadymała się apoplektyczna twarz grubego Steinera. Laborde wpatrywał się przez lornetkę ze zdumioną miną handlarza koni, który podziwia doskonałą klacz; zaczerwienione uszy Dagueneta aż mu się trzęsły z uciechy. Potem jednym błyskiem objął łożę Muffatów: za poważną i bladą hrabiną wspinał się na palcach rozanielony hrabia; na jego twarzy wystąpiły czerwone plamy. A mętne oczy stojącego obok markiza de Chouard wyglądały w ciemności jak fosforyzujące, roziskrzony ślepiec kota. Było duszno. Na spoconych głowach włosy coraz bardziej ciążyły. W ciągu trzech godzin powietrze w sali nasyciło się ludzkimi wyciewami. W blasku gazowych płomieni gęstniały warstwy pyłu znieruchomiałe pod żyrandolem. Cała sala dygotała, zataczała się omdlewająca, ogarnięta szalem namiętności i pożądań, jakie budzą się nocą w głębi alkowy. Wobec tej omdlewającej publiczności, wobec tysiąca pięciuset stłoczonych osób, osłabionych i wyczerpanych nerwowo pod koniec spektaklu, Nana stała zwycięska prezentując swe marmurowe ciało i powaby płci, zdolne zniweczyć cały ten świat bez najmniejszego dla niej uszczerbku.

Sztuka skończyła się. Na triumfalne wezwanie Wulkanu cały Olimp defilował przed parą zakochanych, wykrzykując „ochy” i „achy”, by wyrazić zdumienie i radość. Jowisz powie-

dział: „Synu mój, lekkoduch z ciebie, i żeś nas wezwał gwoli ujrzenia tego.” Potem nastąpił ukłon w stronę Wenus. Chór rogowy, wprowadzony przez Irys, błagał najwyższego z bogów, żeby zaniechał dalszego śledztwa. Bo od czasu gdy kobiety pozostawały w domu, życie męzczyzn robiło się nieznośne. Woleli już być zdradzani i mieć święty spokój. Oto morał komedii. Więc uwolniono Wenus, a Wulkan otrzymał separację od stołu i łóża. Mars pogodził się z Dianą. Jowisz, chcąc mieć spokój w małżeństwie, wysłał swoją praczkę na jedną z konstelacji gwiazdnych. I wreszcie wyciągnięto Miłość z ukrycia, gdzie robiła ptaszki z papieru zamiast odmieniać słowo „kocham”. Kurtyna opadła w momencie apoteozy, gdy klęczący chór rogowy śpiewał hymn wdzięczności na cześć Wenus, a ona uśmiechała się zwycięsko, świadoma władczych uroków swego ciała.

Widzowie wstali już i kierowali się ku drzwiom. Domagano się autorów, dwa razy ich wywoływano wśród piorunujących braw. „Nana! Nana!” — huczało wściekle. Potem na sali zrobiło się ciemno, zanim jeszcze opustoszała. Rampa wygasła, żyrandol przyćmiono, długi pokrowiec z szarego płótna opadły z proscenium i zakryły złocenia. Sala, przed chwilą tak gorąca i hałaśliwa, zapadła nagle w ciężki sen. Rozchodziła się woń pleśni i kurzu. Hrabina Muffat, otulona futrem, stała w progu łóża i patrzyła w ciemność, czekając, aż tłum odpłynie.

W kularach popychano garderobiane, które traciły głowę wśród stosów porzuconych okryć; Fauchery i la Faloise śpieszyli się, żeby asystować paniom przy wyjściu. Wzdłuż westybulu mężczyźni tworzyli szpaler, a ze schodów po prawej i lewej stronie powoli zstępowały dwa nie kończące się, regularne i zwarte szeregi. Steiner, pociągnięty przez Mignona, zwał jeden z pierwszych. Hrabia de Vandeuvres wyszedł pod rękę z Blanką de Sivry. Gaga i jej córka rozglądały się przez chwilę jakby zakłopotane, lecz Labordette spiesznie pobiegł, by przyprzewodzić powóz, którego drzwiczki z szykiem za nimi zamknął. Nikt nie widział przechodzącego Dagueueta. Gimnazjalista, zdecydowany czekać przed wyjściem dla artystów, z rozpalonymi policzkami zbiegł do pasażu Panoram, którego bramę zastał zamkniętą. Stojąca na trotuarze Satin podeszła, by musnąć go swymi spódnicami. Lecz on, zrozpaczony, brutalnie odmówił i zniknął w tłumie, ze łzami pożądania i bezsilności w oczach. Widzowie zapalali cygara i rozchodzili się nucąc refren: „Gdy Wenus błąka się wieczorem...” Satin wróciła przed kawiarnię „Varietes”, gdzie August dał jej resztki cukru sprzątniętego ze stolików. Jakiś otyły mężczyzna, który wyszedł z teatru bardzo podniecony, zabrał ją w końcu, znikając w cieniu usypiającego powoli bulwaru.

Publiczność ciągle jeszcze wychodziła z teatru. La Faloise czekał na Klarysę. Fauchery obiecał, że zabierze Lucy Stewart z Karoliną Hèquet i jej matką. Właśnie nadchodziły. Zajęły cały kąt westybulu, śmiejąc się bardzo głośno, gdy Muffatowie przechodzili z lodową wyniosłością. Bordenave wynurzył się z bocznych drzwiczek i zobowiązał uroczyście dziennikarza, że da w gazecie wzmiankę o spektaklu. Dyrektor był zlany potem, rozpromieniony i jakby upojony sukcesem.

— Dwieście przedstawień murowanych — powiedział do niego podniecony la Faloise. — Cały Paryż przedefiluje przez pański teatr.

Lecz Bordenave, nadąsany, gwałtownym ruchem brody wskazał na publiczność, która wypełniała westybul, tłum męzczyzn o wyschniętych wargach i rozpalonych oczach, odurzonych jeszcze i upojonych widokiem Nany, i krzyknął gwałtownie:

— Powiedz raczej: przez mój burdel, diabelny uparciuchu!

## II

Nazajutrz o godzinie dziesiątej Nana jeszcze spała. Zajmowała przy bulwarze Haussmanna drugie piętro dużego nowego domu, którego właściciel wynajmował mieszkania kobietom samotnym, żeby mu wysuszyły tynki. Ulokował ją tam pewien bogaty kupiec z Moskwy, który przyjechał na zimę do Paryża i zapłacił czynsz za pół roku z góry. To mieszkanie, zbyt dla niej obszerne, nigdy nie było kompletnie umeblowane. Raziły zbytkowne przedmioty, złoczone konsolki i krzesła obok tandetnych rupieci, mahoniowe stoliczki obok kandelabrow z cynku udającego florencki brąz. Wyczuwało się, że mieszka tu porzucona za wcześniej przez pierwszego poważnego klienta dziewczka, która wpadła z powrotem w ręce podejrzanych kochanków. Mieszkanie świadczyło o trudnym debiucie, o nieudanym wejściu w świat, zahamowanym przez brak kredytu i ciągłą groźbę eksmisji.

Nana leżała na brzuchu ściskając w nagich ramionach poduszkę, w której zanurzyła twarz bladą od snu. Sypialnia i buduar były jedynymi pokojami, które miejscowy tapicer urządził starannie. Światło przedzierało się przez zasłonę, ukazując palisandrowe meble, tapety i fotele obite brokatem w wielkie niebieskie kwiaty na szarym tle. W wilgotnej i sennej atmosferze pokoju Nana zerwała się nagle na równe nogi, jakby zaskoczona pustką wokół siebie. Spojrzała na drugą poduszkę i zobaczyła wśród gipiurowych koronek wklęśnięcie jeszcze ciepłe od czyjejś głowy. Wymacała ręką i nacisnęła guzik elektrycznego dzwonka u wezglowia.

— Poszedł? — spytała pokojówkę, która się zjawiała.

— Tak, proszę pani, pan Paweł wyszedł, nie minęło jeszcze dziesięć minut... Ponieważ pani była zmęczona, nie chciał jej budzić. Ale kazał mi powiedzieć, że przyjdzie jutro.

Mówiąc to pokojówka Zoè otwierała żaluzje. Światło dzienne zalało pokój. Zoè była ciemną brunetką, uczesaną w drobne pukle; miała twarz długą jak psia mordka, siną i pokiereszowaną, spłaszczony nos, grube wargi i czarne, ciągle biegające oczy.

— Jutro, jutro — powtarzała Nana jeszcze niezupełnie rozbudzona. — Czy to jutro jego dzień?

— Tak, proszę pani, pan Paweł przychodzi zawsze w środę.

— Ależ nie, już sobie przypominam! — krzyknęła młoda kobieta siadając w łóżku. — Wszystko się zmieniło, chciałam mu to powiedzieć dziś rano... Wpadłby na tego murzyna. To dopiero byłby bal!

— Pani mnie nie uprzedziła, więc nie mogłam wiedzieć — szepnęła Zoè. — Skoro pani ma zamiar zmieniać dni, byłoby dobrze mnie zawiadomić, żebym wiedziała... To ten stary sknera nie będzie już przychodził we wtorki?

Zupełnie poważnie nazywały między sobą sknerą i murzynem dwóch mężczyzn, którzy płacili. Był to kupiec z dzielnicy Saint-Denis, z natury oszczędny, i pewien Włoch, domniemany hrabia, którego pieniądze, wpływające bardzo nieregularnie, miały dziwną woń. Daguenet kazał sobie zarezerwować dni po starym sknerze. Ponieważ kupiec musiał być od godziny ósmej rano w domu, młody człowiek w kuchni u Zoè czatował na jego wyjście i do godziny dziesiątej zajmował po nim miejsce, zupełnie jeszcze ciepłe. Potem sam szedł załatwiać swoje sprawy. Zarówno Nana, jak on uważali, że to jest bardzo wygodne.

— Trudno — rzekła — napiszę do niego dziś po południu... A jeżeli nie otrzyma mojego listu, jutro Zoè nie da mu wejść.

Tymczasem Zoè krzątała się cicho po pokoju. Mówiła o wielkim sukcesie wczorajszym. Pani wykazała tyle talentu, tak dobrze śpiewała! Ach! Pani może być teraz spokojna!

Oparta łokciem o poduszkę Nana odpowiadała tylko ruchem głowy. Koszula ześliznęła się, rozrzucone bujne włosy spadały jej na ramiona.

— No tak — szepnęła rozmarzona. — Ale jak przetrwać? Dziś czeka mnie mnóstwo przykrości... Ach, właśnie, czy konsjerż dziś rano jeszcze nie przychodził?

Zaczęły rozmawiać rzeczowo. Była winna za trzy miesiące, właściciel mówił, że zrobi jej zajęcie. Poza tym kłopot z wierzycielami: odnajemcą powozów, bielizniarką, krawcem, węglarzem i jeszcze innymi, którzy codziennie przychodzili i siadali na ławeczce w przedpokoju. Straszny był zwłaszcza węglarz, gdyż krzyczał na całe schody. Lecz jej wielkim zmartwieniem był Ludwiś, dziecko, które urodziła, gdy miała szesnaście lat, i oddała do swojej mamki na wieś w okolicach Rambouillet. Ta kobieta żądała za zwrot Ludwisia trzysta franków. W przyływie macierzyńskiej miłości od czasu ostatnich odwiedzin u dziecka Nana rozpaczała, że nie może urzeczywistnić planu, o którym uparcie marzyła: zapłacić mamce i oddać małego do ciotki, pani Lerat, mieszkającej w dzielnicy Batignolles, gdzie mogłaby go odwiedzać, ilekroć by tylko chciała.

Pokojówka podsuwała myśl, że pani powinna by zwierzyć się ze swych finansowych kłopotów staremu sknerze.

— Ech! Już mu mówiłam — krzyknęła Nana. — Odparł, że ma zbyt poważne płatności. Nie przekracza przecież w wydatkach na mnie tysiąca franków miesięcznie... A murzyn jest w tej chwili splukany, myślę, że przegrał w karty... Jeśli chodzi o biednego Mimi, to sam bardzo potrzebowałby pożyczki. Bessa na giełdzie tak go zrujnowała, że nie może już nawet przynosić mi kwiatów.

Mówiła o Daguencie. Na wpół jeszcze zamroczona i zaspana, nie miała sekretów przed Zoè, która, przywykła do podobnych konfidencji, przyjmowała je z pełną szacunku sympatią. Skoro pani raczyła jej opowiadać o swoich sprawach, mogła sobie pozwolić na wyrażenie swego zdania. Bardzo przecież lubiła swoją panią, dla niej odeszła od pani Blanki, a pani Blanka doprawdy robiła, co mogła, by ją odzyskać! Miejsc nie brakowało, była dosyć znana! Ale jednak wolała zostać u swej pani i dzielić z nią nawet kłopoty, bo wierzyła w jej przyszłość. Wreszcie sprecyzowała swoje rady. Kiedy człowiek jest młody, popełnia głupstwa. Ale teraz już trzeba mieć oczy szeroko otwarte, bo mężczyznom tylko żarty w głowie. Och! Można by ładnie zarobić! Wystarczyłoby jedno słowo pani, by zaspokoić wierzycieli i znaleźć pieniądze, które jej są potrzebne.

— To wszystko nie daje mi trzystu franków — powtarzała Nana zagłębiając palce w swych niesfornych kosmykach. — Muszę mieć trzysta franków dziś, natychmiast... Jak to głupio nie znać nikogo, kto mógłby dać trzysta franków.

Szukała w pamięci. Mogłaby posłać do Rambouillet panią Lerat, na którą czekała od samego rana. To, że nie mogła dogodzić swemu kapryswi, psuło jej radość z wczorajszego triumfu. I pomyśleć, że wśród tych wszystkich mężczyzn, którzy ją oklaskiwali, nie ma żadnego, który byłby gotów przynieść jej piętnaście ludwików! Zresztą nie może tak po prostu przyjmować pieniędzy. Boże! Jak bardzo jest nieszczęśliwa! Nieustannie wracała do swego dziecka, które ma niebieskie oczy cherubinka i bełkocze „mamo” tak zabawnym głosem, że można pęknać ze śmiechu.

W tej chwili przy drzwiach wejściowych odezwało się szybkie i niepokojące drganie elektrycznego dzwonka. Zoè wróciła szepcząc z poufałą miną:

— Jakaś kobieta. — Dwadzieścia razy widziała już tę kobietę, udawała tylko, że jej nie poznaje i że nie wie, co łączy ją z kokotami, które są w kłopotach pieniężnych.— Powiedziała mi swoje nazwisko... pani Tricon.

— Ach, Tricon! — krzyknęła Nana. — Doprawdy, zapomniałam o niej... Niech wejdzie.

Zoè wprowadziła starszą, wysoką kobietę uczesaną w długie loki; miała wygląd hrabiny, która ciągle się procesuje. Pokojówka ulotniła się znikając zwinnym ruchem żmii, jak zwykle, gdy wchodził do Nany jakiś mężczyzna. Zresztą tym razem mogła być zostać, gdyż Tricon nawet nie usiadła. Nastąpiła tylko krótka wymiana zdań.

— Mam dziś kogoś dla pani... Chce pani?

- Tak... Ile?
- Dwadzieścia ludwików.
- O której?
- O trzeciej... Zgoda?
- Zgoda.

Triconna od razu zmieniła temat; zaczęła mówić o pogodzie, że jest sucho, że chodzić wygodnie. Musi jeszcze odwiedzić cztery czy pięć osób. I wyszła zaglądając do notesika. Nana została sama. Doznała uczucia ulgi. Lekki dreszcz przebiegł jej po plecach, zagrzebała się znowu w ciepłym łóżku, miękko, powolnie jak kotka wrażliwa na zimno. Niebawem powieki jej opadły, a na ustach zjawiał się uśmiech — pomyślała, że nazajutrz ślicznie ubierze Ludwisia. A tymczasem na nowo ogarniał ją sen, gorączkowy sen, który przez całą noc upajał ją przeciągłym hukiem brow i koił znużenie.

O godzinie jedenastej, gdy Zoë wpuściła do sypialni panią Lerat, Nana jeszcze spała. Ale obudzona hałasem powiedziała:

— Ach, to ty... Dziś pojedziesz do Rambouillet.

— Właśnie dlatego przyszłam — oświadczyła ciotka. — Jest pociąg o dwunastej dwadzieścia. Jeszcze zdążę pojechać.

— Nie, trochę później będę miała pieniądze — rzekła młoda kobieta przeciągając się i wypinając pierś. — Zjesz śniadanie, a potem zobaczymy.

Zoë przyniosła peniuar i szepnęła:

— Proszę pani, fryzjer przyszedł.

Lecz Nana nie chciała przejść do gotowalni i krzyknęła:

— Proszę wejść, Francis.

Pan, ubrany bez zarzutu, pchnął drzwi. Skłonił się. Właśnie Nana, bosa, wychodziła z łóżka. Nie spieszyła się. Wyciągnęła ręce, żeby Zoë pomogła jej wdziać rękawy peniuaru. A Francis, czując się jak u siebie, z miną pełną godności czekał nie odwracając się. Odezwał się dopiero wtedy, gdy usiadła i gdy zaczął ją czesać.

— Może pani jeszcze nie widziała dzienników... Jest bardzo dobry artykuł w „Figaro”.

Miał go przy sobie. Pani Lerat włożyła okulary i stojąc przy oknie głośno czytała. Prosto-wała swoją figurę żandarma. Gdy wymawiała jakiś wymyślny przymiotnik, marszczyła nos. Był to artykuł Fauchery'ego napisany zaraz po wyjściu z teatru, dwie szpalty skreślone w ciepłym tonie z dowcipną złośliwością pod adresem artystki i brutalnym podziwem dla kobiety.

— Znakomite! — powtarzał Francis.

Nana śmiała się, że strojono żarty na temat jej głosu. Ten Fauchery jest jednak miły, odwzajemni mu się za to. Pani Lerat po przeczytaniu artykułu oświadczyła nagle, że wszyscy mężczyźni mają diabła w łydkach. Nie chciała dokładniej wyjaśnić tego określenia, zadowolona ze sprośnej aluzji, którą tylko ona rozumiała. Tymczasem Francis kończył podkręcanie i układanie włosów. Ukłonił się mówiąc:

— Rzucę okiem na dzienniki wieczorne... Jak zwykle, prawda? o wpół do szóstej?

— Przynieś mi słoik pomady i funt pralin od Boisiera! — krzyknęła do niego Nana przez salon, w chwili gdy już zamykał drzwi.

Skoro tylko kobiety zostały same, przypomniały sobie, że jeszcze się nie ucałowały. Złożyły więc sobie wzajemnie na policzkach gorące pocałunki. Artykuł w „Figaro” je podniecił. Zaspą do tej pory Nanę ogarnęła znowu gorączka triumfu. Ach! Róża Mignon miała dziś na pewno ładny ranek! Ponieważ ciotka nie chciała przyjść do teatru w obawie, że nadmiar wzruszeń mógłby jej zaszkodzić na żołądek, Nana zaczęła jej opowiadać o wieczorze. Upajała się własnym opowiadaniem, jakby cały Paryż trząsł się od oklasków. Potem, przerywając sobie nagle, spytała ze śmiechem, czy mógł się kto tego spodziewać, wówczas kiedy jako smarkuła włóczyła się po ulicy Goutte d'Or. Pani Lerat potrząsała głową. Nie, nie, kto by to mógł przewidzieć. Z kolei sama zaczęła mówić strojąc poważne miny i nazywając Nanę

swoją córką. Czyż nie była teraz jej drugą matką, skoro pierwsza odeszła do tatusia i babci? Nana, głęboko wzruszona, była bliska płaczu. Lecz pani Lerat powtarzała, że nie warto wracać do przeszłości, och, szkaradnej przeszłości. Nie trzeba tych rzeczy ciągle odgrzebywać. Od dawna już przestała widywać swoją siostrzenicę. Bo w rodzinie oskarżano ją, że razem z tą małą schodzi na złe drogi. Jakby to w ogóle było możliwe! Nie żąda od niej żadnych zwierzeń ufając, że zawsze żyła uczciwie. Teraz wystarczyło jej, że odnajduje Nanę w świetnej sytuacji i pełną czułości dla synka. Uczciwość i praca to najlepsze wartości na tym świecie.

— Kto jest ojcem tego dziecka? — spytała, przerywając, z gorączkową ciekawością w oczach. Nana, zaskoczona, zawahała się przez mgnienie oka.

— Pewien pan — odpowiedziała.

— Ach tak! — podjęła ciotka. — Mówili, że miałaś je z jakimś murarzem, który cię bił... Zresztą opowiesz mi o tym którego dnia. Wiesz, że jestem dyskretna!... Już ja go będę pilnować, jakby był synem księcia.

Porzuciła zawód kwiaciarki i żyła z oszczędności, z sześciuset franków renty zebranych grosz do grosza. Nana obiecała, że jej wynajmie ładne mieszkanie, a ponadto będzie dawać sto franków miesięcznie. Słyszając tę cyfrę ciotka zapomniała się, krzyczała do siostrzenicy, że powinna wycisnąć z nich jak najwięcej, skoro już ma ich w rękę; mówiła oczywiście o mężczyznach. Jeszcze raz się ucałowały. Lecz nagle Nana zasepiła się, gdy w radosnym nastroju zaczęła znowu mówić o Ludwisiu.

— Doprawdy, to okropne, że muszę wyjść o trzeciej! — szepnęła. — Istna pańszczyzna.

Właśnie Zoë oznajmiła, że podano do stołu. Przeszły do jadalni, gdzie siedziała już przy stole jakaś starsza pani. Była w kapeluszu, odziana w ciemną suknię niewyraźnego koloru, coś między pchłą a gęsim łajnem. Nana nie wydawała się zdziwiona jej obecnością. Spytała ją po prostu, dlaczego nie weszła do pokoju.

— Słyszałam jakieś głosy — odrzekła stara. — Myślałam, że nie jesteś sama.

Pani Maloir, osoba dobrze ułożona i wyglądająca czcigodnie, była starą przyjaciółką Nany. Dotrzymywała jej towarzystwa i wszędzie z nią bywała. Z początku zdawało się, że obecność pani Lerat ją niepokoi. Ale gdy dowiedziała się, że jest ciotką Nany, spojrzała na nią łagodnie i uśmiechnęła się blado. Tymczasem Nana, która mówiła, że jest głodna jak wilk, rzuciła się na rzodkiewki i chrupała je bez chleba. Pani Lerat zachowywała się ceremonialnie i nie chciała jeść rzodkiewek, bo to powoduje niestrawność. A gdy Zoë przyniosła kotlety, Nana jadła mięso półgębkiem i tylko wysysała kości. Kątem oka spoglądała na kapelusz swej przyjaciółki i w końcu powiedziała:

— Czy to jest ten nowy kapelusz, który ci podarowałam?

— Tak, ale go przerobiłam — szepnęła pani Maloir z pełnymi ustami. Kapelusz był dziwaczny, szeroki z przodu i ozdobiony wysokim piórem. Pani Maloir miała manię przerabiania wszystkich swoich kapeluszy. Ona jedna wiedziała, w czym jej dobrze, i jednym ruchem ręki robiła rzeszoto z najbardziej eleganckiego nakrycia głowy. Nana, która właśnie kupiła jej ten kapelusz, żeby się już nie rumienić, gdy ją zabierała z sobą, omal się nie rozgniewała i krzyknęła:

— Niech pani go przynajmniej zdejmie!

— Nie, dziękuję — odrzekła stara z godnością — wcale mi nie przeszkadza przy jedzeniu.

Po kotletach były kalafiory i resztką zimnego kurczęcia. Lecz Nana przy każdym daniu trochę się krzywiła. Wahala się, wahała, zostawiała wszystko na talerzu. Zakończyła śniadanie konfiturą.

Deser przeciągał się. Zoë nie zdjęła obrusa, bo miała jeszcze podać kawę. Panie po prostu odstawiły talerze. Ciągle mówiono o wczorajszym pięknym wieczorze. Nana kręciła papierosy, które paliła rozwalona w krzesło, kołysząc się. Zoë, oparta plecami o bufet, zaczęła opowiadać o sobie, wymachując rękami. Mówiła, że jest córką akuszerki z Bercy, która miała na sumieniu jakieś podejrzaną sprawę. Najpierw poszła na służbę do dentysty, później do agenta